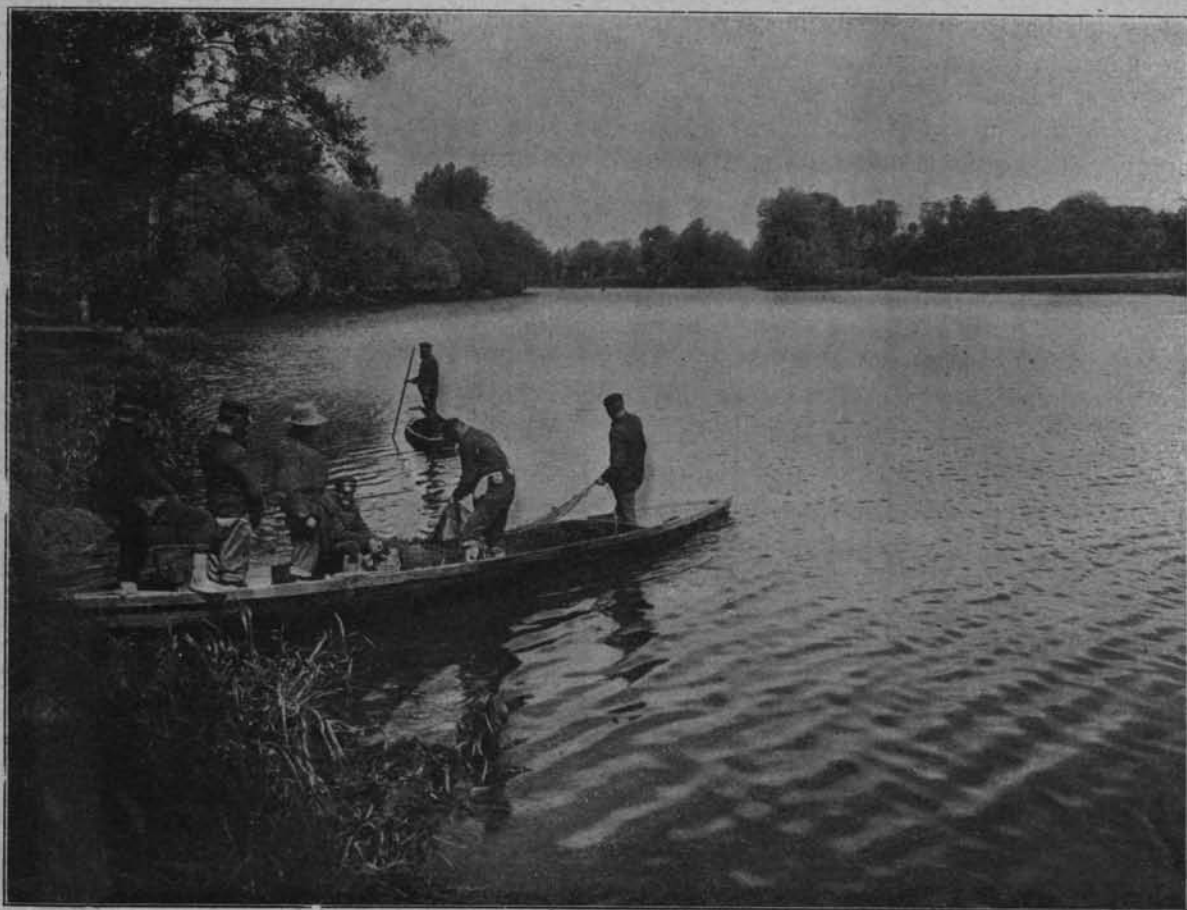




Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



4. LACHA WILANOWSKA.

Fot. L. Olszewski.

Wiwianitowe i żelaziakowe złoża u źródeł Baryczy

i ich użytkowanie. ¹⁾

Pobudkę do referatu niniejszego dały 4 duże słoje z okazami wiwianitu i rudy żelaznej, nadane z polecenia administracji dóbr hrabstwa przygodzickiego (księcia Ferd. Radziwiłła), od towarzystwa, wywożącego te minerały do hut, a mającego siedzibę w Ostrowiu w W. Księstwie Poznańskim.

Chociaż i w innych częściach naszej dzielnicy nie brak nam okolic z rozległymi obszarami, w których znajduje się tuż pod powierzchnią ziemi ruda żelazna i w których są niezawodne dowody wyrabiania z niej żelaza w dawnych czasach, np. nad biegiem Prozny, Obry, Noteci i ich dopływów, i chociaż niewątpliwie i tam mogłoby się udawać wydobywanie tej rudy na eksport do hut, nigdzie jednak ten nowy przemysł nie rozwinął się dotąd w takim stopniu, jak w powiatach ostrzeszowskim i odolanowskim, gdzie utrudniający tak bardzo rozwój roślinności pokład tego minerału i wiwianitu dochodzi do 1 m. miąższości i to na bardzo rozległym obszarze, zwłaszcza u źródeł i w górnym biegu Baryczy. Tak grubym jest np. osad wiwianitu czyli sinoziemi, t. zw. z powodu sinego zabarwienia tego miazgi, zawierającego 5% fosforu (nie kwasu fosforowego), — na obszarze od Radochowa nad samą granicą przez Masanowo i Przygodzice do Odolanowa. Poza Odolanowem znika błękitne zabarwienie ziemi, gdyż wiwianit jest tam zmieszany już z żelaziakiem darniowym i daje w analizie tylko 2% fosforu. Zdarzają się podobne wiwianitowe złoża i w innych powiatach, np. w powiecie gostyńskim, (z których jedną bryłę referent okazał). Gąbczasta ona i lżejsza od żelaziaka darniowego, który się z niej wytwarza i także zawiera do 2% fosforu. Tak samo i w babimojskim możnaby wydobywać wiwianit na eksport. Tymczasem z nad źródeł Baryczy w pierwszej połowie ostatniego pięciolecia, t. j. od 1 stycznia 1905, kiedy ten przemysł się roz-


począł, aż do 30 września 1907, wywieziono koleją już 108.531.500 kg. tego minerału wraz z rudą darniową, a obecnie eksport ten tak się wzmógł, że trzeba było dodać do istniejących linii kolei żelaznej dwie nowe: jedną, już w jesieni 1909 otworzoną, z Ostrowa na Odolanów do Grabówna (Gross — Graben), a drugą, która niebawem będzie do użycia oddana, z Ostrzeszowa do Grabowa. Rudę tę obecnie chętnie zakupują do przetapiania huty na Górnym Szląsku, a pierwszy przykład w tej mierze dała huta w Żorach (Sorau), której dyrektor, Naegeli zrozumiał doniosłość ekonomiczną tego przemysłu, skoro radca przemysłowy, Haegermann¹⁾ na to zwrócił uwagę. 25 lat przedtem została zamknięta ostatnia przetapiarnia żelaza w Poznańskim, założona krótko przedtem przez Sattlera w Drasku (Dratzig), w pow. czarnkowskim, która tylko 9 lat istniała. Zwinięto ją z powodu ciągłego wzrastania ceny drzewa i zbyt wielkich wówczas kosztów sprowadzania wapna z najbliższych wapieni w Rüdersdorfie pod Berlinem. — Tymczasem odtąd odkryto nad samą Notecią w Wapienniu i Piechcinie bogate pokłady górnio-jurajskiego wapienia niegłęboko pod glebą, a i węgiel brunatny zaczyna być u nas na wielką skalę wydobywany. Niema jednak prawdopodobieństwa, by obecnie w Poznańskim tak prędko powstała nowa przetapiarnia, chociaż niezawodnie wywóz wiwianitu i żelaziaka darniowego i w innych powiatach się rozszerzy. Znadto wielki jest zarobek właścicieli moczarów, którym obecnie huty płacą 2 Mk. od metra sześć. rudy lub wiwianitu a przez usunięcie jej przyczyniają się do melioracji ich ziemi, aby i w innych stronach u nas nie naśladowano przykładu powiatów ostrzeszowskiego i odolanowskiego.

Inaczej było dawniej, gdy drzewa było

¹⁾ Haegermann. Entschundene Industriezweige der Provinz Posen. 1900.

Haegermann. Die Gewinnung u. Verwertung der Eisenerze in der Provinz Posen. Zeitschr. der naturw. Abteilung XVI. 1—5. 1909.

¹⁾ Referat przedstawiony na zebraniu zwyczajnym wydziału przyrodników i techników Poznańskiego Tow. Przyj. Nauk dnia 12-go kwietnia 1910 r.




poddostatkiem a nie było komunikacji. Wtedy topiono żelazo u nas prawie wszędzie, gdzie się ruda znajdowała. Mamy dowody, że przemysł żelazny w tej części Wielkopolski kwitł całe wieki, póki nie musiał ustać pod wpływem konkurencji w zmienionych warunkach. Dowodzą tego choćby nazwy wsi starożytne nie mniej, jak na Górn. Szlasku rozpowszechnione. Mamy np. w pow. ostrzeszowskim wieś Kuźniki a obok tego 3 Kuźnie: K. bobrowską, K. myśleniewską i K. dąbrową, a w pow. kempnińskim powtarza się Kuźnica 4 razy: skakawa, słupska, stara i trzcinińska. A ileż to nazw miejscowości, nieco późniejszych prawdopodobnie, z pierwiastkiem niemieckim Hammer: Hamry, Homry, Hammerki, Hamrzyska i t. p. Jest i rzeczka Hammerka, jest rzeczka Flinta, jezioro i kanał Szablak od wyrabiania w tej okolicy szabel. Kowalewo, resp. Kowalewko powtarza się w Poznańskim aż 13 razy. Nazwa miejscowości

w pow. odolanowskim Świeca, pochodzi najniezawodniej od wielkiego pieca do przetapiania rudy, którego ślady jeszcze pozostały. Można by wyszukać takich dowodów jeszcze wiele więcej. Co się zaś tyczy nazw wsi od minerału tam znajdującego się, to zwracam uwagę na tak często się powtarzające u nas nazwy o etymologicznym pierwiastku Ruda z najrozmaitszemi ich odmianami; prócz rzeczek Rudka i Rudnica powtarzają się u nas kilkakrotnie nazwy wsi: Ruda, Rudka, Rudnia, Rudnice ¹⁾, Rudnicze, Rudki, Rudniki, Rudniczysko, Rudno, Rudunek, Rudy, Rudzicz i t. d. Często jest także nazwa wprost od żelaza: Żelazko, Żelazkowo, Żelazna huta, Żelazno, Żelaznica. Dużo wsi ma pierwiastek od Kopania w swej nazwie. Jest wieś Siniawa, nie Sieniawa, od sinej ziemi (sinoziem, siniak).

(d. n.)

Dr. Fr. Chłapowski.



Lawiny w Tatrach.

(Dokończenie).

Zwykle lawina jest już gotowa powyżej zasięgu lasów, a spuszczając się z wysokości, wdzierając się w lasy klinem, wyrwijając i łamiąc drzewa i torując sobie tym sposobem drogę: ten szlak lawinowy ściąga corocznie nowe lawiny, tak iż zarastanie jego lub zasadzenie tych dróg lawinowych przedstawia wielkie trudności.

A teraz słówko o materyalach, które lawiny z gór unoszą na dół. O ile lawiny — a tyczy się to przedewszystkiem lawin pylnych — sprowadzają z góry tylko śnieg, niewiele przyczyniają się do przeobrażenia krajobrazu. Są one tylko powodem, że śnieg, sprowadzony do niższych i cieplejszych okolic, szybciej z gór znika i że wody z topniejącego śniegu nie mogą rozpocząć swego działania morfologicznego tuż pod grzbietami, lecz dopiero w głębi dolin. Tylko w wyjątkowych wypadkach takie lawiny powodują zmiany krajobrazowe, mianowicie np. wtenczas, gdy tamują wałem rzekę, tak że powstaje za śnieżną tamą jezioro, w którym osadzają się materyały nanesione przez potoki. Te pokłady jeziorne świadczą później jeszcze o tem zajściu, gdy już tama stopniała i jezioro spłynęło. Ale wobec krótkiego bytu

takich jezior tamowanych przez lawinę, nasypy jeziorne są zawsze bardzo cienkie i nie rzucają się krajobrazowo w oczy.

Inaczej się rzecz ma (jak to często bywa), jeżeli wraz z lawiną zjeżdża w głąb masa skalnego i roślinnego materyału. Lawina układa się na dnie doliny stosownie do jej charakteru jako stożek, jako klin podobny do języka lodowcowego, ostatecznie jako zupełnie w nieładzie ułożona i zbita masa bloków śnieżnych. Zależy to od jakości i ilości śniegu, od jakości toru lawinowego i od rozmiarów zbiornika śnieżnego. Często lawina usypuje kilka stożków jeden nad drugim, rzadziej kilka języków, bo nierówna powierzchnia języków, zbudowanych z licznych ale zupełnie nieprawidłowych bloków śnieżnych, powstrzymuje szybko ruch wtórnej lawiny. Wszystko to znika, gdy śnieg lawinowy taje pod wpływem wiosennego słońca,

¹⁾ Rudnica = dymarka, najpierwotniejszy piec do topienia rudy. Rzączyński daje aż 2 rozdziały o urnach i garnkach kopalnych w Wielkopolsce, ale o rudzie żelaznej w naszej dzielnicy ani o wyrabianiu z niej żelaza lub stali nie wspomina wcale.



ciepłych wiatrów i deszczów: wtenczas formy akumulacyjne lawin znikają,—stożki lawin pylnych naturalnie szybciej, języki lawin zbitych wolniej. Szczątki lawin zbitych przechowują się czasami (ale nie w Tatrach) przez całe lato, szczególnie w cienistych wąwozach dolinnych, dokąd słońce i ciepłe wiatry nie dochodzą.

Po stopieniu śniegów pozostaje materiał naniesiony przez lawiny na miejscu. Materiał ten odznacza się charakterystycznym układem nieprawidłowym, pagórkowatym i rozmieszczeniem „językowym lub stożkowym”. Materiał ten jest kańciasty, tylko obdrapany i czasem trochę ogładzony, ułożony w kupach, między którymi pozostały liczne nieregularne dziury. „Przewodnią formą” dla materiałów lawinowych, jak się F. Ratzel¹⁾ wyraża, są porwane przez lawinę szczątki szaty roślinnej, osiedlonej przedtem o wiele wyżej od miejsca, w którym się teraz znajdują jako forma egzotyczna. Po większej części rośliny porwane, połamane i podniszczone nie mogą na nowo odżyć: ale drobne giętkie formy, np. trawy, szybko po stopieniu śniegów zarastają nasypy lawinowe, a nawet umarłe formy odradzają się dzięki nasionom, naniesionym z góry. Tym sposobem lawiny są bardzo ważnym czynnikiem mimowolnej wędrówki szaty roślinnej: często spotykamy także w Tatrach kosodrzewinę wśród wysokich lasów na miejscach, gdzie nasiona kosówki wraz z porwanymi krzakami naniosiła lawina: poznać to po rozmieszczeniu kosówki, która ściśle się trzyma formy nasypu lawinowego (językowego). Stosunki te w Tatrach jeszcze niedostatecznie zbadano.

Ogólnie wiadomo, że lawiny mogą być jedną z najstraszniejszych katastrof w górach: lawiny porywały i niszczyły całe wsie, grzebały setki i tysiące ludzi, nie mówiąc o szkodach, które corocznie w górach wyrządzają wskutek oderwania żyznej ziemi, niszczenia pastwisk i lasów, przerwania dróg komunikacyjnych, gościńców i dróg kolejowych i t. d. Gościńiec do Morskiego Oka bywa corocznie to w tem, to w owem miejscu niszczone przez lawiny (tego roku poniżej domu żandarmeryi, który ocalał tylko przypadkiem). Życie ludzkie w Tatrach rzadko kiedy pada ofiarą lawin, co się poprostu tłumaczy brakiem stałego zaludnienia w głębi Tatr. Góral prowadzi, zmuszony do tego przez przyrodę, koczownicze życie, ma różne sezonowe siedziby, zimowe na Podhalu, letnie na wierzchach Tatr. Natomiast sport zimowy, który coraz więcej sprowadza gości w góry, będzie pewno przyczyną niejednej ofiary; jedna ofiara, nieodżałowany Mieczysław Karłowicz, padła już,

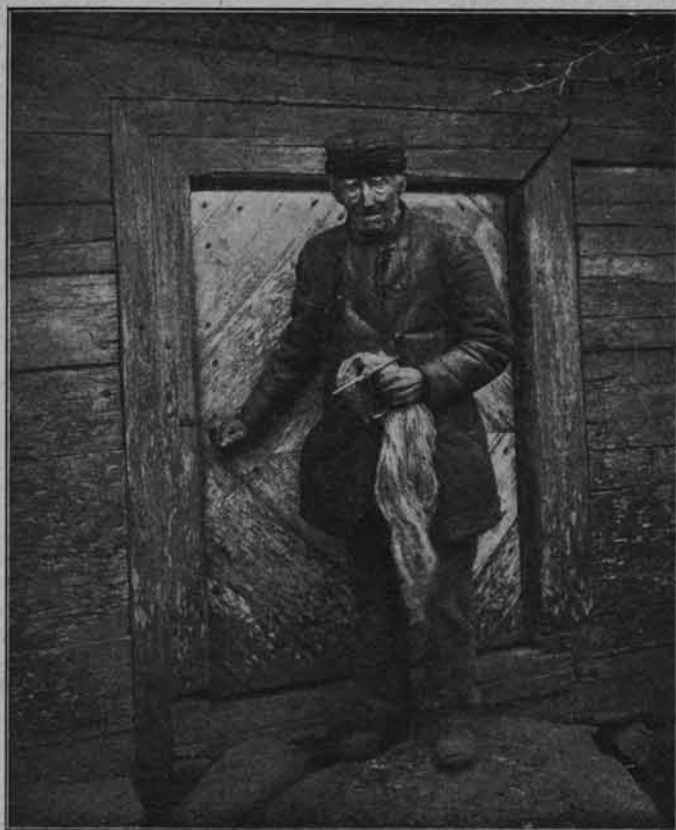
przywalona lawiną pod Małym Kościelcem¹⁾ dnia 8 lutego 1909; podobny los groził pp. M. Zaruskiemu i jego towarzyszowi pod Polskim Grzebieniem dnia 1 marca 1908. Śmierć porwanego przez lawinę człowieka następuje z dwóch powodów: albo został on przez lawinę zmiążdżony, czasem rozerwany albo zasypany nie miał dościsnąć powietrza i uduśił się. Szczególnie siła odśrodkowa podczas ruchu lawinowego jest tak wielka, że jest ona w stanie rozedrzeć członki ciała ludzkiego. Zdarzyło się w Szwajcaryi²⁾, że lawina rozerwała mężczyźnie nogi tak, że wnętrzości jego wystąpiły i że wkrótce umarł. Czy człowiek zasypany przez lawinę szybko się uduśi, czy też uda mu się samemu lub przy pomocy innych wyratować, zależy po pierwsze od położenia, w którym utknął w śniegu, a po drugie od gęstości śniegu. Gdy utknął głową w głębi, to śmierć jest prawie niechybna; gdy śnieg jest wilgotny i zbija się w gęste kłęby, o ratunku mowy niema. Natomiast, gdy człowiek został zasypany lekkim, ziarnistym śniegiem i w postawie normalnej, stojącej, to często sam wydobyć się może z pod śniegu. Albowiem lawina rzadko przysypuje człowieka głęboko, siła odśrodkowa wyrzuca go zazwyczaj blisko powierzchni: Karłowicz był przykryty tylko 1½ m. śniegu.

Przeciwko lawinom bronić się można w dwojaki sposób: po pierwsze można domostwa, gościńce i t. d. ubezpieczać od uderzenia lawin. Dlatego w górotworach alpejskich częstokroć wbudowuje się domostwa w ziemię pod stromymi zboczami, tak iż lawina przelatuje ponad dachem domu. Albo też buduje się po stronie stoków naprzeciwko domu z ziemi lub kamieni rodzaj klinu, który rozdziela lawinę nadbiegającą na dwie połowy, tak iż obchodzi ona domostwo z dwóch stron, nie tykając go. Nad gościńcami, kolejami, buduje się sklepienia kamienne lub drewniane, galerie, aby lawina przejechała ponad dachem. Natomiast przedwczesne usunięcie lawiny z gościńców może być niebezpiecznym, bo lawina, pozbawiona oparcia po stronie stoku doliny, może się ponownie zesunąć. Drugi skuteczniejszy, ale też mozolniejszy i kosztowniejszy sposób walki z lawinami jest uniemożliwienie rozwoju lawin. Czyni się to, wznosząc w zbiornikach śniegów lawinowych ściany i mury w wielkiej ilości, które przytrzymują, jakby kolce, śnieg na miejscu aż stopnieje i nie puszczają go w głąb. Pracę tę zmuśnioną podjęto już w licznych okolicach Szwajcaryi, Francji i Austrii. Tę samą usługę oddaje w okolicach niższych las: pielęgnowanie staranne lasów

¹⁾ F. Ratzel: Die Erde und das Leben. Lipsk. Wiedeń. 1901, I. 524.

¹⁾ Pam. Tow. Tatr. 1909. 30. 2—7.

²⁾ Coaz I. Die Lawinen der Schweizer Alpen, 1881. p. 91.



ŻMUDZIN Z OKOLIC POŁĄGI.

Fot. P. Mongirówna.

ochronnych należy również do skutecznych środków w walce z lawinami.

Z powyższego krótkiego przeglądu widzimy, że lawiny są w górach nadzwyczaj ważnym czynnikiem: z jednej strony w życiu i w modelowaniu krajobrazu górskiego, z drugiej zaś w przenoszeniu szaty roślinnej i w życiu górala. Znaczenie tego czynnika zwiększa fakt, że jest to zjawisko zupełnie prawidłowo powtarzające się corocznie: każdy górotwór ma swoje drogi lawinowe, gdzie często schodzą lawiny i w każdym górotworze pewna pora roku odznacza się największą ilością lawin. Coaz¹⁾ liczy w okolicy przełęczy Św. Gotharda w Szwajcaryi na przestrzeni 325 km. rocznie 518 lawin, zajmujących 25% całego obszaru (8101.5 ha), czasem choć wyjątkowo do 2 km. długich, 400 m. szerokich a zajmujących 50 ha. powierzchni. Z tych

518 dróg lawinowych 496 (więc 96%) odznacza się częstymi lawinami. Tym sposobem lawiny są ważnym zjawiskiem w górach, a ponieważ zjawisko to jest zależne od warunków klimatycznych i orograficznych, więc jest ono charakterystyczne dla pewnego pasma wysokości. Najwyższe pasmo gór alpejskich odznacza się prawie zupełnie zastojem czynności erozyjnej, niema tam ani właściwych dolin, ani lawin; jest to pasmo wiecznego śniegu i lodów (tego pasma w Tatrach wcale niema). Poniżej leży pasmo, w którym w zimie panuje zastój procesów erozyjnych, modelujących krajobraz; natomiast na wiosnę i w lecie schodzą tu lawiny i ogromne masy wody z topniejących śniegów; tu najszybciej posuwają się lodowce, złobiąc szerokie doliny i tu rozkład skał jest z powodu silnych zmian ciepłoty i rozsadzającej działalności częstych przymrozków właśnie najintensywniejszy. To pasmo wznosi się wszędzie nad pasmem działalności wody płynącej, wytwarzającej sieć doliną i nad pasmem gęstej szaty roślinnej i wysokich lasów.

Wartoby poznać bliżej znaczenie lawin dla krajobrazu i życia tatrzańskiego. Ale brak ludności stale zamieszkałej w Tatrach utrudnia zebranie odpowiedniego materiału. Bo o każdej lawinie dowiedziećby się należało, jakiego ona jest typu, czy tą drogą często czy rzadko lawiny schodzą, jaka jest jej chyżość zesunięcia się, gdzie leży zbiornik, w jakiej wysokości, z jakich skał się składa, czy jest pokryty szatą roślinną a mianowicie jaką, jakie są rozmiary lawiny (długość, przeciętna szerokość, grubość, powierzchnia) i t. d. Do poznania tych stosunków, do zestawienia statystyki lawinowej doprowadzić nas mogą na razie tylko jak najliczniejsze, choćby okolicznościowe spostrzeżenia turystów zimowych. Lepiej i łatwiej uda się to przeprowadzić, gdy stanie na Gałtuchu obserwatorium naukowe, które tam Węgrzy zakładają i wnet wybudują, i gdy założona będzie nad Morskiem Okiem stała stacya obserwacyjna, co od dawna czeka na urzeczywistnienie.

¹⁾ Coaz - l. c. str. 130 i nast.

Dr. Ludomir Sawicki.



Żmudź i Żmudzini.

(Dokończenie).

Wszędzie także, od kolei libawskiej aż do Połangi, można spotkać średniej wysokości krzyże, w postaci ociosanych słupów bez poprzecznych ramion, z piramidalnymi różnego typu i rozmiarów daszkami, zakończonymi u góry małym krzyżykiem, u dołu zaś różnemi ornamentacyami: frendzlami, rzeźbionymi wiszącymi dzwoneczkami i innymi ozdobami. Pod daszkiem takich krzyżów

harmonijnym daszkiem, z uszkodzonym u góry małym drewnianym krzyżykiem, ma sto kilkadziesiąt lat, postawiony był bowiem w roku 1760-ym. Omszały ten krzyż rzeczywiście posiada dziwny urok starości i zarazem wielkiej prostoty. Tego właśnie typu krzyże są wszędzie na Żmudzi, z pewnemi odmianami kształtu daszka, a nawet i na Litwie, np. w powiecie poniewieskim.

Na wymienionym cmentarzyku zybikowskim, tuż koło parkanu, stoi inny krzyż z r. 1834-go, z daszkiem już więcej skomplikowanym, podtrzymywanym przez filarki, z Chrystusem „Smutkialsem“ wewnątrz.

Często kapliczki, umieszczone na podstawie pionowej, o różnej wysokości, szerokości i ornamentacy, bywają znacznie większych rozmiarów. Na cmentarzu kościelnym wieksznińskim, w czterech narożnikach cmentarnych, ustawione są na kilkołokciowej podstawie kapliczki oszklone większych rozmiarów, o jednym froncie, w kształcie małych ołtarzy. W jednej z tych kapliczek, z r. 1833, odnowionej w ostatnich czasach, mamy szereg grupki z rzeźbionymi, jaskrawo kolorowanymi figurami, wyobrażającymi Mękę Chrystusa;



CHATA RYBACKA W POŁADZE.

Fot. P. Mongirdówna.

umieszczana jest często męka Chrystusa. Czasami daszki są nawet nieco większych rozmiarów, czasami zamiast daszków są umieszczane całe kapliczki, o jednym, dwóch, a nawet czterech frontach, z figurami rzeźbionymi Matki Boskiej Bolesnej lub Łaskawej i różnych świętych szczególnie popularnych w pewnych okolicach, jak np.: św. Jerzego na białym lub siwym koniu (koło Płungian), św. Jana Nepomucena (koło Retowa), św. Floryana i t. d.

Tego typu krzyże tchną szczególną staroświeczyzną i swoistym charakterem żmudzkiem.

O dwie wiorsty od miasteczka Wiekszni (w pow. szawelskim), koło wsi Żybiak jest stary cmentarz, ogrodzony kamiennym parkanem, z wysoką drewnianą, ciekawą pod względem architektonicznym bramą, z kolorowaną figurą od strony frontu św. Michała Archanioła, deptającego szatana. Na tem cmentarzysku znajdujemy kilkanaście b. starych krzyżów, z których jeden dębowy z piramidalnym

wyobrażające Ukrzyżowanie Chrystusa, Matkę Boską Bolesną i t. d.

Nieraz oddzielne figury lub całe grupy figur są umieszczane z dwóch, a nawet z czterech stron kapliczek: takie grupy wyobrażają Złożenie Chrystusa do Grobu, Złożenie Dzieciątka Jezusowi darów przez wschodnich władców i t. p. (Retow, Lacków).

Dużo krzyżów-kapliczek tego mniej więcej typu, oszklonych, ładnie na jasno pomalowanych, niedawno widocznie stawianych, z różnorodnemi i nieraz wcale udatnemi grupami figur można spotkać koło Płungian (pow. telszewski). Wypada dodać, że dotąd na Żmudzi istnieje sporo ludzi, który w małych miasteczkach i po wsiach trudnią się właśnie wyrabianiem z drzewa krucyfiksów i całych najróżnorodniejszych grup figur świętych. Wyroby takie nazywają się „dvevukai“—bożkami, sami zaś domorośli rzeźbiarze noszą miano



„dvevudyrbiai“ t. j. wyrabiaczy bogów. Zapewne, dzieło rąk takich „wyrabiaczy“ najczęściej bywa bardzo nieudolne, ale zdradza pewne upodobania ludu żmudzkiego, jego pobożność, jego wewnętrzne porywy; architektoniczne zaś ornamentacje krzyżów i kapliczek żmudzkich są uieraz bardzo oryginalne i jakoby wielce przypominają zdobnictwo ludowe zakopiańskie. Ś. p. Hieronim Łopaciński, znany etnograf polski, nie mógł wyjść z podziwu, zwiedzając przed laty kilku Żmudź i spotykając na każdym niemal kroku najróżnorodniejsze typy krzyżów i kapliczek. Głośny artysta-malarz i znawca sztuki ludowej, Stanisław Witkiewicz, oddawna już nawoływał rodaków swoich ze Żmudzi do fotografowania i przerysowywania żmudzkich krzyżów, które w końcu i na Żmudzi, wskutek braku materiału drzewnego i wskutek wyschnięcia źródeł fantazyi ludowej, zaczęły ginąć.

Kapliczki żmudzkie często bywają stawiane bez podstawy, wprost na ziemi lub na niskim kamiennym podmurowaniu. Takie kapliczki bywają już stosunkowo większych rozmiarów.

O cztery wiorsty od wspomnianych kilkakrotnie Wiekszni, przy drodze okmiańskiej nad rzeką Wentą, stoi dotąd nad wspaniałym urwiskiem tego typu kapliczka o czterech frontach. Od strony gościńca widzimy efektownie przystrojoną w muśliny i świecidełka Matkę Boską Łaskawą, ze złocistymi promieniami, idącymi w dół od spuszczonej rąk Matki Boskiej; z przeciwnej strony Michał Archanioł z obnażonym mieczem depcze dyabła, na jednej zaś z bocznych stron kapłan wypęcza z opętanej kobiety szatana i trzyma go za czuprynę. Tego typu kapliczki często się spotykają w parafii tryskiej (pow. szawelski).

Podkreślając jako cechę szczególnie charakterystyczną, religijność Żmudzinów, która graniczy nieraz z fatalizmem, wypada stwierdzić, że Żmudzin jest jednak mniej zabobonny, aniżeli jego pobratymiec, skądinąd wogóle więcej oświecony, Łotysz.

Rzecz charakterystyczna, pomimo silnie zarysowanej pod pewnym względem indywidualności, pomimo wyraźnych zdolności intelektualnych, Żmudzini nie utrzymali własnego stroju narodowego—żmudzkie grube samodziały, zastosowane do warunków klimatycznych, zwykle są krajane podług wzorów nieoryginalnych i nieestetycznych. Dawniejsza granatowa lub szara sukmana męska żmudzka dawno już wyszła ze zwyczaju nawet na wsi. Ubranie na głowę mężczyzn, w postaci niekształtnej czapki, jest oddawna zapożyczzone od Białorusinów. Nawet kobiety wiejskie coraz więcej się wyzbywają stroju ludowego wyrobu domowego. Nic oryginalnego i swojskiego nie posiada też zaprzęg żmudzki: wszechwładnie pod tym względem zapanowała białoruska „duga“ i bryczka

„kurlandka“. Warto jednak wspomnieć, że dotąd jest w użyciu na Żmudzi obuwie na nogi: „łapcie“ i t. z. „klumpiai“—ciężkie drewniane sandały.

Nie posiadają też Żmudzini własnego oryginalnego tańca. Chętnie przez nich tańczono na weseliskach i zabawach t. z. „suktinis“ (od słowa „sukti“—kręcić), zbliżony nieco do polki, wcale nie jest piękny, nie ujawnia nic oryginalnego i ognistszego i wreszcie bardzo przypomina białoruską t. z. „krutyłkę“ (od słowa „krutyti“—kręcić). Lubią Żmudzini muzykę i śpiew, ale i pod tym względem są bardzo niewybredni. Czasami tylko można się spotkać na wsi ze skrzypcami i z fletem; dawniej były w użyciu t. z. „kankliai“—instrument w rodzaju cytry; najczęściej jednak zadowolają się Żmudzini wrzaskliwymi i nieharmonijnymi trąbami albo wreszcie t. z. z białoruską „harmoniką“. Coraz więcej też zanika na wsi żmudzkiej pieśń ludowa lub też ustępuje miejsca obcej. Przywiązani bardzo do ziemi, nawykli do pracy na roli, ciężko bardzo i niechętnie naginają się Żmudzini do innych warsztatów pracy ludzkiej, wreszcie o ile z konieczności jej się mają, brakuje im pomysłowości, sprytu, zdolności i umiejętności jej wykończenia. Niedarmo też na Żmudzi powstało przysłowie: „ujdzie, jak na Żmudzi!“ Nie potrafi więc Żmudzin oddziaływać na innych pod względem kulturalnym, niema wreszcie do tego najmniejszej pretensyi, to też wpływy jego kulturalne na otoczenie, na sąsiadów sprowadzają się niemal do zera.

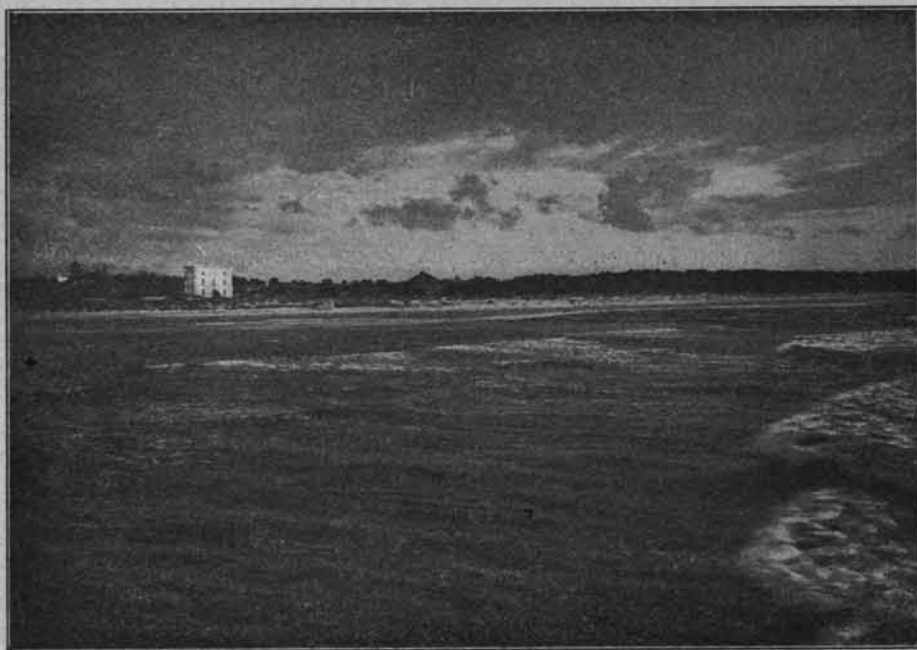
W tem też bodaj tkwi dziejowa zagadka rutenizacji lub polonizacji wogóle całego plemienia litewskiego, zarazem i Żmudzinów.

Wadą ludu żmudzkiego jest namiętne procesowanie się, z drugiej strony skłonność do pijaństwa. Ongi skutecznie walczył z pijaństwem wielki biskup Wołonczewski, ale dotąd ten nałóg pełni się wśród ludu, pochłania wielkie sumy i zarazem obezwładnia Żmudzina. Sceptycznie też zapatruje się Żmudzin, przynajmniej dotąd, na potrzebę szerszej i głębszej oświaty, dosyć biernie przyjmuje taką, jaka się nadarzy. Tylko zawsze strzeże pilnie swego życia wewnętrznego religijnego.

Stosunek Żmudzina do kobiety, do małżonki jest lekceważący. Żmudzin chętnie mówi o kobiecie, że ma długi włos a krótki rozum, aczkolwiek, ma się rozumieć, i na Żmudzi nieraz się spotykają prawdziwe „pyktai Magdai“—złe Magdy, które pod pantoflem trzymają swych mężów.

Ziemia na Żmudzi jest dosyć urodzajna, to też lud żmudzki i dawniej za czasów pańszczyznianych dużo lepiej się miewał, aniżeli jego pobratymcy—właściwi Litwini.

Po uwłaszczeniu włościan w roku 1861 znaczna część ludności żmudzkiej, obdarzona zie-



POŁAGA.

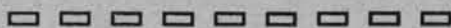
Fot. P. Mongirdówna.

nią i przytem w ilości znacznie większej, niż gdzieś indziej w państwie, pod względem materyalnym wcale dobrze była uposażona, rozwinięty zaś wywóz lnu do Prus i do Rygi dawał Żmudzinom bardzo znaczne zyski. To też żmudzki gospodarz wiejski żył dostatnio i nabrał pewności siebie, jak ów „szlachcic na

zagrodzie — równy wojewodzie“. Ten to właśnie gospodarz wiejski żmudzki był zarazem stróżem tradycji rodzimej. Ale z czasem działki ziemi zaczęły się zmniejszać, proletaryat rolny wzmógł się, i rozpoczął się ruch emigracyjny ze wsi do miast i miasteczek, do Lipawy (Libawy), do Rygi, do Rosyi, wreszcie do Ameryki. I tutaj ujawniła się w całej pełni bierność kulturalna Żmudzinów. Przy zetknięciu się z obcem zbiorowiskiem miejskiem, Żmudzin łatwo ulega wszelakim ob-

cym wpływom kulturalnym, pozostaje jednak w nim zawsze, coś ze swoistego temperamentu, pomimo przyjmowania tej lub innej zewnętrznej obcej powłoki. I pod tym względem Żmudzin zawsze pozostanie — Żmudzinem.

Adam Jaczynowski.



Stare domy w Wilnie.

Są miasta jak i ludzie, dla których los zawsze był macochą. Do takich właśnie miast winno być zaliczone Wilno. Stary gród giedyminowy w ciągu sześciu wieków istnienia miał chwile świetności, ale też spadały nań liczne klęski. Częste pożary obracały kwitnące miasto w gruzy; niszczyli je i rabowali nieprzyjaciele: Krzyżacy, Moskwa, Szwedzi, Francuzi, dzięki którym bezpowrotnie zginęło mnóstwo cennych pamiątek i zabytków przeszłości. Daleko jednak więcej szkód wyrządziły zła wola, chciwość, ciemnota i karygodne niedbalstwo samych Wilna gospodarzy i mieszkańców. One to sprawiły, iż nic prawie nie pozostało z zabytków budownictwa ubiegłych wieków, jak np. zamki królewskie, pałace Barbary i Bogusława Radziwiłłów, brama zamkowa, mennica, brama trocka i inne, a z potężnego zamku górnego i kościoła św. Marcina na górze zamkowej

zostały zaledwie marne szczątki, a i te nieochraniane, z dniem każdym w gruzy się rozsy-



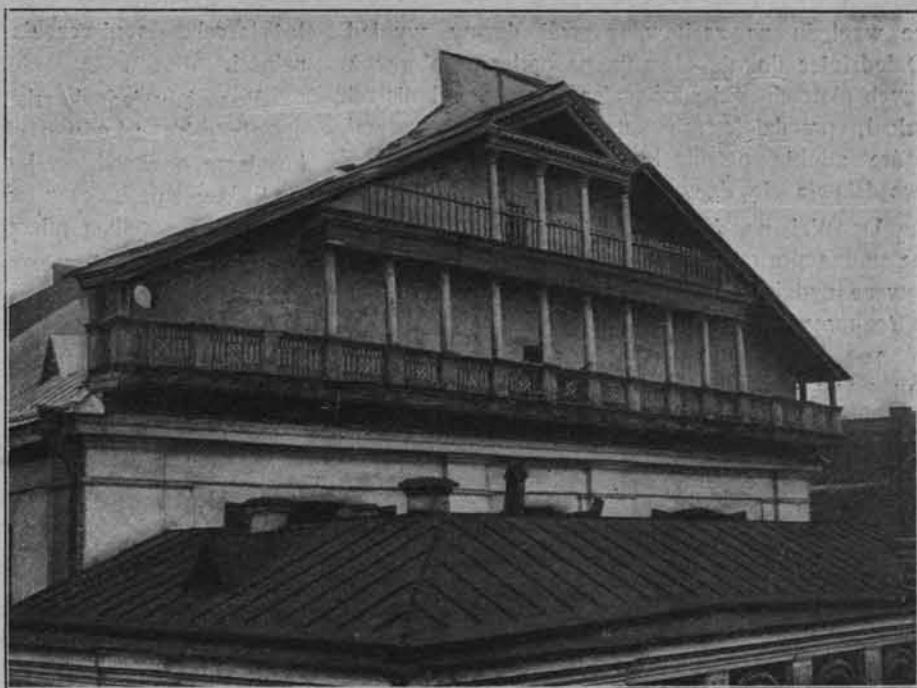
DOMY KAPITUŁY I KONSYSTORZA W WILNIE.

Fot. Wł. Zahorski.

pują, i już niedaleki jest czas, kiedy po nich tylko wspomnienie pozostanie.

Przetrwało jednak w Wilnie do naszych czasów kilka zabytków budownictwa XVII wieku. Są to stare kamienice o niskich bramach, niekiedy herbami ozdobionych, arki na ulicach, drzwi lub okna o charakterystycznym obramieniu, no i niektóre kościoły. Ale i tu znać pracę ręki niszczycielki. Przebudowywane są stare pamiątkowe kamienice, usuwa się z nich cenne szczegóły architektoniczne i starannie zaciera się cechy staroświeckie.

Oprócz znanego domu kapitulnego Nr. 4 przy ulicy Zamkowej, posiadającego piękną attykę renesansową, oprócz obok położonego domu konsystorza o charakterystycznym pięttrze wyższym, a którego okna od zaułku dotąd zachowały przebieżne obramienia stylowe, można spotkać w Wilnie kilka kamienic godnych uwagi. Do takich przedewszystkiem należy dom Nr. 4 przy ulicy Pałacowej (dawniej Biskupiej) znany ludności wileńskiej pod przeinaczoną przez nią nazwą, jako dom „Aluminata“, albo „Iluminata“.



ST-RA BOŻNICA W WILNIE.

Fot. ze zbiorów Pol. Tur. Kwojcz.

W tej kamienicy mieścił się Alumnat papieski, czyli seminaryum dla alumnów rytu greckiego, założony w r. 1622 przez papieża Grzegorza XV i utrzymywany kosztem jego następców na stolicy apostolskiej. Alumnat zostawał pod dozorem Jezuitów, a po skasowaniu ich zakonu aż do końca istnienia był w zawiadywaniu Bazylianów.

Według postanowienia kongregacji „de propaganda fidei“ z d. 12 lutego 1753 r. seminaryum powinno mieć 20 uczących się; z tych 4 Bazylianów i 16 z kleru świeckiego. Seminaryum służyło dla Archidiecezyi kijowskiej, t. j. dla województw: wileńskiego, nowogrodzkiego, mińskiego, Ukrainy, dla Archidiecezyi połockiej, t. j. dla województw: połockiego i witebskiego, oraz dla Archidiecezyi smoleńskiej i diecezji włodzimierskiej, chełmskiej i pińskiej.

Kamienica na zewnątrz niczem się od innych nie wyróżnia. Dawniej jednak nad bramą znajdowała się artystycznie z czarnego marmuru wykuta tyra papieska, a pod nią ozdobna tablica spżowa z napisem: „Non deficiet“. Tablica i tyra przez administrację miejscową zostały z bramy usunięte i niewiadomo gdzie się podziały.

Za to w dziedzińcu kamienica ta słusznie wzbudza podziw znawców i miłośników przeszłości w znacznej części



DZIEDZINIEC DOMU ALUMNÓW PAPIESKICH W WILNIE.

Fot. Wł. Zahorski.



ze względu na zachowany swój dawny wygląd. Dziedziniec dokoła otaczają na parterze i obu wyższych piętrach galerie, mające szereg półkolistych arkad, przedzielonych słupami czworobocznymi, które zdobią płaskie kolumny pilastrowe. Całość przedstawia się dziwnie wdzięcznie i harmonijnie.

Dawniej na ścianach galerii były malowane na murze portrety papieżów, ujęte w również malowane ozdobne obramienia. Wszystkie te portrety z rozporządzenia władzy zabieleno wapnem.

Przed laty kilkunastu zwierzchność katedry wileńskiej, do której kamienica należy, w celu pomnożenia dochodu z domu, zamurowała arkady z prawej strony dziedzińca i w ten sposób przy-

łożyła rękę do niszczenia drogich pamiątek przeszłości.

Pozostały jednak arkady z 2 stron podwórca, staroświeckie schody o niskich stopniach, galerie, korytarze o charakterystycznych załamaniach muru i sklepieniach, oraz sklepione cele, w których za niewielką opłatą mieszkają ubogie rodziny.

Brama w głębi prowadzi na drugi dziedziniec, z którego zdumionym oczom turysty odkrywa się prześliczny widok na były pałac biskupi (obecnie generał-gubernatorów), na mury po-universyteckie i obserwatorium astronomiczne.

Dr. Władysław Zahorski.



Sven Hedin w Tybecie.

6)

Na zachodnim brzegu jeziora Pul-tso, naznaczono dzień wypoczynku. Następne dwa dni i jedną noc chciał Hedin spędzić na jeziorze, karawana zaś miała iść jego brzegiem północnym, do wytkniętego punktu zbornego.

Zachęcająco i sielsko rozpościerała się błękitna powierzchnia wód, w której odbijały się śnieżne szczyty otaczających je gór. Z rozpalonych ognisk wlokł się ciężki, obfity dym, ludzie gotowali sobie kolację lub reparowali ubrania. Nastrój był cichy i jak zwykle przed dniem wypoczynku nieco przedświąteczny.

Wtem słychać zbliżający się od wschodu jakiś dziwny szum, który z każdą chwilą rośnie, zbliża się i nabiera mocy. I nagle, jak lecący z gór kamień, zwała się jedna z najwściekleszych nawalnicy. Robert, którego namiot chwije się i chyli pod naciskiem wiatru, wydaje jakieś przeraźliwe okrzyki induskie; cały obóz zrywa się na równe nogi. Ledwie zdążono zatkać pakami wejście do namiotu Hedina i jako tako ułożyć się w innych, już rozpasał się w całej swej niepohamowanej sile orkan. Teraz to już nie szum, nie wycie nawet, ale jakieś przeraźliwe dudnienie i łoskot, jakby się z pod sklepienia arkady słuchało walącego górą pociągu. Dość wysadzić nos przez otwór namiotu na zewnątrz, żeby piersiom zabrakło tchu; słychać tylko, jak przeraźliwie łopocze oderwana ściana któregoś namiotu, i jak ciężkiem basowem uderzeniem markują takt rozszalałe fale jeziora.

Pomimo wszystko niebo jest pogodne i z góry na to rozpasanie żywiołów leją się potoki martwego światła księżycowego, a dołem, jak wystrzelone rakiety, sypią się iskry z porzuconych przed chwilą ognisk.

Dopiero nad ranem wszystko ucichło i tylko spienione wody jeziora były jeszcze ciężko o brzeg. Nie przeszkodziło to zresztą zamierzonej wycieczce, która tym razem obyła się bez tak nadzwyczajnych przygód, jak dwie poprzednie. Jedzenie wzięto ze sobą, wody możliwej do picia zaczerpnięto z jeziora, Rechim Ali podsycił ognisko, Robert przyrządził wieczerzę, Hedin błądził długo jeszcze po zachodzie słońca nad brzegiem i rozmyślał o najbliższej przyszłości. W dali świeciły ognie obozu. W nocy przyszła wprawdzie ponownie burza, ale się ją jakoś od biedy przetrwało, leżąc dobrze okryty futrami pod zasłoną wyciągniętej na piasek łodzi. W obozie natomiast, jak zaraportował na drugi dzień Mahmud Iza, znowu padły dwa konie i jeden muł. Co gorsza i z pozostałych 40 koni i 34 mułów było już kilka na śmierć skazanych i te w barbarzyńskiej lecz nieuchronnej konieczności, musiały się zadowalać trawą i mchem, bo zapasy były tylko dla zdrowych.

Coraz mocniej ustalał się fakt, że zwierzęta zabija wiatr. Szkodziło im oczywiście zimno, szkodziły nadmierne wysiłki w mocno rozrzedzonym powietrzu i niezupełnie odpowiednie pożywienie, ale nad wszystko zabójczym, okrutnym



wrogiem był wiatr, który męczył, szarpał, nie dawał wytchnienia, nie pozwalał jeść nawet, bo przez cały czas zwierzę, obrócone do niego tyłem, skulone, jakby wciągnięte w siebie, stało jak martwy, kamienny słup. Zaraz po przyjsciu na nocleg widać było, które z nich ma jeszcze w sobie nieco siły i odporności, które zaś goni resztkami, pierwsze bowiem zaczynały bezwzględnie skubać trawę, drugie zaś kładły się apatycznie na ziemię. To też teraz już dnia nawet nie było, żeby za obozem nie zostawał trup konia lub muła. Licząc od Leh już się ma do wielkiego jeziora o zaludnionych brzegach *Dangra-jum-tso* więcej niż połowę drogi za sobą, ale nie można się łudzić nadzieją, żeby ta druga połowa — z mrozem, i wichrem piekielnym—była łatwiejsza.

W dodatku, jakby szalone ze zmęczenia i trwogi konie korzystały z pierwszej nadarzonej okazji, żeby uciekać w pustynię, gdzie ich trzeba szukać z najwyższym trudem. Raz jeden z ludzi—*Rab-sang*—trzy dni spędził przy dwudziestu zgórą stopniach mrozu na takich poszukiwaniach i w dodatku na poszukiwaniach bezpłodnych. Okazało się, że wilki zagnały konie na długie i wązkie cyple, wrzynające się w głąb jeziora, i na miękkiej ziemi znać było doskonale: pośrodku mocne, pozapaczliwe uderzenia kopyt uciekającego w śmiertelnym prerażeniu zwierzęcia, a po bokach lżejsze ślady goniących go zaciekle prześladowców. Na samym jednak końcu cypla ślad kopyt urywał się nagle, wilcze zaś wrwały z powrotem, a że nie było krwi, ani kości, przeto należało przyjąć za domysł niczem niezbity, że biedak wolał skoczyć w mroczne i lodowate otchłanie nieznanych wód, aniżeli być żywcem rozszarpany. I można wierzyć *Hedinowi*, że go długo, długo jeszcze prześladowała wizja tego strasznego momentu, jaki nieszcześnie, oszalałe trwogą zwierzę przeżyło przed śmiercią.

To też za tą garstką ludzi i zwierząt, która się z zaciętymi zębami drze naprzód przez kamienną pustynię, ciągnie teraz już całe stado kraków, nawpół oswojonych, sytych, z pogardliwym lekceważeniem traktujących psy, które je usiłują odstraszyć. Mają się dobrze, żywności im nie brak i zaledwie koń lub muł jaki padnie, już siedzą na nim, wyrwijając oczy póki ciepłe i lśniące.

Karawana wyrusza w drogę dopiero o 9^{1/2}. *Mahmud Iza* zauważył, że rano zwierzęta najchętniej się pasą, więc przedłuża jak może ten moment, oszczędzając siły, które muszą do pewnego miejsca wystarczyć. I tak dzienny etap wynosi nie więcej, niż 15, czasem 12 tylko kilometrów. A przecież teraz idąc ciągle ku wschodowi, ma się długie łańcuchy gór po bokach, ciągnące się wzdłuż

drogi, jak zakrzepłe fale. Później, kiedy szlak skręci na południe — już wiedzą wszyscy, gdzie jest cel ostateczny — trzeba będzie te wały przechodzić jeden za drugim i trudności wzrosną w dziesięćkroć. Tylko *Sven Hedin* traktuje rzecz nieco inaczej. Dalej, to nie znaczy dla niego gorzej i trudniej, tylko znaczy wejść w kraje, w których dotąd noga żadnego badacza nie stała, które na mapach przedstawiane są jako białe niczem nie wypełnione plamy z napisem *nieznane*. To jest cel wyprawy, więcej nawet — to jest cel życia.

Tymczasem dnie płyną, jak otaczający krajobraz, jednostajnie, choć ciężko.

Okolo pierwszej następuje zawsze krótki spoczynek, przeznaczony nie na jedzenie, bo jada się tylko dwa razy na dzień: o 8 rano i 6 wieczorem, tylko na rysowanie planów, pomiary i spostrzeżenia meteorologiczne. Jest to też jedyna krótka chwila, kiedy można się ogrzać, bo siedząc na koniu jest się całkowicie we władaniu wiatru, który mrozi do szpiku kości. I tak przy rysowaniu musi zawsze stać obok naczynie z żarzącymi się węglami, bo zgrabiałe palce odmawiają posłuszeństwa, jeżeli ich co chwila nie ogrzewać nad ogniem.

Zimno dochodzi nocami do—28°, w dzień zaś wprawdzie temperatura podnosi się znacznie, nie do tego jednak stopnia, żeby ją można traktować obojętnie.

Wieczorem po kolacy, którą się zjada z apetytem, chwila wypoczynku. Poświęca ją się na czytanie, bądź kilku zabranych ze sobą dzieł o buddyźmie i lamaizmie, bądź *Supana „Geografii fizycznej“*, bądź zresztą jakiejś lżejszej lektury. Czasem dla różnaitości każe *Hedin* przychodzić do swojego namiotu któremukolwiek ze swoich ludzi i zapuszcza się w długą gawędę o jego dawniejszym życiu. Coprawda płon, jaki te wywiady przynoszą, nie jest zwykle bardzo obfity. Są rzeczy, które ci *Ladacy* pamiętają wybornie: jaka była maść i wzrost koni w karawanie, z którą chodził przed kilkunastu laty, jakie były właściwości i cechy terenu w dawniejszych podrózach, jaka była bezmała każdego dnia poszczególne pogoda. Ale kiedy zapytania wkraczają na teren ich życia osobistego, okazuje się, że tam niema nic ciekawego, a przynajmniej nic takiego, coby *Ladak* uważał za godne wzmianki. Niema o czem mówić, bo wszystko rozumie się samo przez się i w *Ladaku* dzieci by się nawet nie pytały o takie drobiazgi. Żona? Oczywiście jest i żona, została w domu i uprawia pole wraz z bratem. Czy niema obawy, żeby w czasie tak długiej nieobecności nie zdradziła go? Naturalnie, napewno go zdradzi;



jest to zresztą rzecz, z której nikt sobie u nich nic nie robi. Co uczyni mąż, powróciwszy do domu? Odbierze za karę—no nie życie oczywiście wiarałomnej—tylko zwyczajowego barana od tego, który go skrzywdził.

Co ich skłoniło do podróży? Prawie zawsze chęć zysku; tyle tylko, że jeden przeznaczają zapłatę na uregulowanie nieco zaszarganych interesów, inny na gospodarstwo, bo właśnie ma zamiar założyć własne ognisko domowe, jeszcze inny chce oddać zarobek ojcu i starszym braciom, którzy dużo na jego wychowanie łożyli.

Buddyści jednak, których jest sporo, (17, potem 8 wyznawców Islamu i 2 protestantów — Hedin i Robert), mają przed sobą oprócz tego cel bardziej wzniosły. W zaufaniu wyznają nawet, że dzień w dzień modlą się gorąco, żeby im udało się dotrzeć do Sziga-tse, do świętego klasztoru Taszi-lunpo, w którym siedzi świętość nad świętościami—Taszi-lama, jeden z duchowych przywódców lamaizmu. Jest to dla nich coś, jak podróż do Mekki dla mahometan, i napewno nie pożałują ani siedmiu rupii na masło do świętych lamp, ani całomiesięcznego żołądu dla Jego Świątobliwości. A więc tem lepiej, skoro niema tych, co by się oglądali za siebie.

Naogół zaś trzeba przyznać, że cała ta gromadka zachowuje się przykładowie, pracuje z całym natężeniem i nie sprawia żadnego kłopotu. Może w tem jest zasługa żelaznej ręki Muhameda Izy, nie bez znaczenia jest surowy zakaz używania pod jakąkolwiek postacią alkoholu, ale jest też w tem trochę i szczęścia poprostu i przypadku. Bo służba jest ciężka. Pomijając dzienną mordęgę, w nocy trzeba stawać kolejno na czatach i od tej służby oprócz Muhameda Izy i Roberta tylko trzech jest zwolnionych a obowiązek to tem przykrzejszy, że drogę odbywa się cały dzień pieszo. Nikt jednak nie szemrze i nawet zwykle po dokonaniu jakiegoś znaczniejszego czynu, jakiej trudniejszej przeprawy, radość objawiana bywa w sposób głośny i manifestacyjny, okrzykami, śpiewami, wyrzucaniem czapek i podskokami.

Zresztą każdy ma ściśle określoną czynność, którą musi dokładnie wypełniać i za którą jest odpowiedzialny. Mahmud Iza jest jak wiadomo naczelnikiem karawany, Guffaru jest starszym dozorcą koni, wobec czego ma tem mniej do roboty, im więcej koni już padło, Sonam Tsering ma nadzór nad melnikami, Tsering jest po odejściu Manuela kucharzem, Tundup Sonam łowcą i do-

stawcą zwierzyny. Często przed przyjściem karawany na miejsce noclegu wysuwa się Tundup naprzód i szuka zdobyczy. W tych właśnie dniach udało mu się podejść czteroletniego yaka, grzejącego się na słońcu na krańcu małej wyniosłości. Zakryty garbami terenu podsunął się strzelec do niego na blizki dystans, pomimo to jednak pierwsza kula nie położyła yaka trupem i dopiero druga zwała go na łeb z krańca pagórka. Po przyjściu karawany yak był już obtępiony ze skóry, a w olbrzymim żołądku można było dostrzedz całe stopy trawy, korzeni i mchu.

Żeby nie obciążać zwierząt nakazano Ladakom jeść do syta, a resztę zostawić na miejscu, co jednak nie przeszkodziło, że nazajutrz nie jeden z worków prywatnych był wypełniony mięsem.

Po kolacy, czytaniu i pogawędce następował około 9-ej moment dość solenny—spanie. Samo urządzenie pościeli było dość skomplikowane. Na podkładce kauczukowej i paru podwójnie złożonych filcowych dywanach turkiestańskich kładło się dużą kwadratową skórę kozłą, właściwie kilka skór razem zeszytych. Kiedy się już Hedin na jednym jej końcu ułożył, nakrywano go drugą połową i utykano boki skóry między filce, żeby zatamować zupełnie dostęp powietrza. Na taki worek kładło się jeszcze dwie płachty filcowe i futro. Na głowę trzeba było wdziewać nietylko czapę z futra, ale i basztyk, bo odrobinę ciepła, idąca od żarzących się węgli, wywiewał z namiotu niemilosierdzie wiatr. Na nogach spały psiaki ze Srinagar, które wprawdzie nigdy na głos przyjść nie chciały, ale do jedzenia i do spania na łóżku nie spóźniały się ani minuty. Czarną stroną tych przygotowań było nieuchronne zetknięcie się Ladaków z pościelą, co pociągało za sobą skacząco-żrące konsekwencye. Nie pomagały najostrożniejsze reprimendy, bo poczciwi ludziska nie rozumieli poprostu czego się od nich wymaga i wyszedłszy za namiot wybuchali wręcz śmiechem, kiwając głowami nad sahibem, któremu przychodzą fantazyje pozostawać w swojej pościeli samemu.

Przed zaśnięciem długo jeszcze było słychać głos 50-letniego, przysadzistego Tseringa — niezmordowanego opowiadacza, który mógł przez dwie godziny z rzędu, nie zająknawszy się ani razu, raczyć swoich słuchaczy jakimiś nadzwyczajnymi historiami. Milczenie przy tem panowało grobowe, tylko śnieg z lekkim sykiem wpadał i tajał w ognisku.

(c. d. n.)

St. Th.



KOPIEC POD KOŁOMYJĄ.

Ziemia podolska i pokucka zasiana jest całą mogiłami i kopcami, pod którymi śpią snem wiecznym rycerze kresowi, co padli w walce z połańcami. Co kilka stająd na obszernych bezbrzeżnych zda się równinach sterczą kopce, które kryją wiernych bohaterów i obrońców całości granic Rzeczypospolitej.

Jeden z takich kopców wznosi się pod Kołomyją, stolicą ziemi Pokuckiej. Z kopcem tym, który zapewne i mogiłę zastępuje, łączą się dla nas wspomnienia naszej minionej przeszłości. Na nim przyjął król polski Kazimierz Jagiellończyk hołd od hospodara mołdawskiego Stefana, który napierany przez Turków, poruszających się w głąb Europy,—u Polski szukał pomocy.

Na czele 20-tysięcznej armii przybył Kazimierz Jagiellończyk pod Kołomyję, i tu wśród świetnego otoczenia bojarów mołdawskich zjawił się Stefan, składając hołd lenny królowi polskiemu, zaś posiłki polskie, pod Czarnkowskim wysłane, wyparły wkrótce Turków z Mołdawii.

Ku uwiecznieniu tego faktu, przez który Polska rozszerzała swe granice aż do Dunaju, wysta-



Fot. S. A. Wareholik

wiono na kopcu skromny obelisk,—na którym położono napis: „Na tem miejscu Kazimierz Jagiellończyk, król Polski i Wielki Książę Litewski, odbierał hołd wierności od Stefana, hospodara Mołdawii, dnia 15 września 1485 r.“

S. A. W.

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



W skutek odezwy H. Sienkiewicza w sprawie gromadzenia ofiar publicznych na konserwację ruin zamku chęcińskiego Zarząd Polsk. Tow. Krajozn. polecił Komisji Wycieczkowej zorganizować po wakacjach specjalną wycieczkę krajoznawczą z przeznaczeniem dochodu z niej na cel powyższy.

Postanowiono otworzyć listę składek dobrowolnych na rzecz funduszu wycieczkowego, mającego na celu ułatwienie niezamożnej młodzieży branie udziału w wycieczkach krajoznawczych.

Staraniem Oddziału lubelskiego urządzono stację pluwiometryczną we wsi Wysokiem w powiecie krasnostawskim; obserwacje prowadzić będzie miejscowy ksiądz Jędrzejewski.

Postanowiono udzielić subsydyum p. Chętnikowi na gromadzenie materiałów etnograficznych na Kurpiach.

Członkami korespondentami mianowano: p. Kazimierza Arkuszewskiego z Pilicy; p. Jerzego Ostrowskiego z Dębowej Góry (pow. skierniewicki); p. d-ra J. Pawłowskiego z Kaźmierza nad Wisłą.

Pierwsza wycieczka Oddziału Piotrkowskiego odbyła się do Witowa d. 5 maja r. b. i pomimo niepewnej pogody udała się nadspodziewanie. Dzięki uprzejmości proboszcza, ks. Jaskulskiego, autora cennej broszury o Witowie, obejrzano nieliczne zabytki przeszłości. W zakrystyi są ciekawe szafy barokowe oraz cynowy lawaterz z końca XVII w., w chórze zakonnym zaś szereg zniszczonych portretów dawnych opatów, przeważnie z XVIII wieku.

Kościół sam jest budowlą w stylu barokowym zwanym „jezuickim“; płaszczyzny ścian pokrywają bardzo gustowne girlandy stiukowe. W bocznej kaplicy Pana Jezusa oryginalny, na rozpiętym płaszczu gronostajowym wizerunek Chrystusa Pana, a na ołtarzu niezmiernie ciekawy krzyż drewniany z bocznymi figurami, utrzymany w stylu barokowym. Przy głównym wejściu, po obu jego stronach wmurowane pomniki rzeźbione z kamienia, tak jednak zamalowane farbą olejną, iż tylko z rysunku postaci i liter gotyckich w otoku, domyślać się można, że wyobrażają opatów tutejszych z XVI wieku. Kościół cały oparkaniony, a na murze czytamy cały szereg nazwisk tych włóścian, którzy czy to pracą, czy pieniędzmi przyczynili się do jego wykończenia. Po spożyciu posiłku w domu ludowym, pomimo deszczu wycieczka ruszyła zwiedzić stojącą samotnie kolumnę na wydmach piaszczystych;



prawdopodobnie jest ona wzniesiona przez opatów w miejscu obozowiska wojsk Jana Kazimierza, które stąd wyruszyły dalej w 1651 r. ku Ukrainie, objętej buntem kozackim. Zarówno pomniki wspomniane, jak i kolumna, wymagają troskliwej opieki Towarzystwa nad zabytkami przeszłości, czem przyobieczał zająć się obecny na wycieczce delegat. Z powodu porastających zasiewów nie można było zbadać cmentarzyska pogańskiego przyległego do opactwa; wydobyta stąd urna ofiarowana została do piotrkowskiego muzeum krajoznawczego.

Drugą z rzędu wycieczkę urządzono do Złotego Potoku i zamków: Mirowa, Bobolic i Olsztyna.

Wczesnym rankiem, bo o godzinie 4 m. 10, dnia 15 maja r. b., gromadka 43 osób (w tem 11 pań), wyruszyła pociągiem do Myszkowa i dalej końmi ku Żarkom, pamiętnym działalnością przemysłową Steinkellera. Tu witał wycieczkę p. G. Szydłowski, sędziwy obywatel miejscowy. Pod jego przewodnictwem zwiedzono kościół, budowlę bezstylową, po spaleniu się w ubiegłym wieku odbudowaną staraniem Szeinkellera. Główne wejście z obramowaniem kamiennem i z herbem Poraj przypomina dawniejszych właścicieli Żarek—Męcińskich. W kaplicy Krzyża Świętego jedyny stary pomnik Korycińskich pochodzi z połowy XVII wieku; godna uwagi jest chrzcielnica drewniana, z bardzo ciekawym malowidłem olejnym, wyobrażającym Chrystusa Pana.

Do pobliskiego Lesłowa wyruszono pieszo, zwiedzając po drodze na wydmach piaszczystych „mogily szwedzkie”—nieme świadki pierwszego ich najazdu. Przy kościele źródło, o którym liczne krążą podania. Jedno z nich głosi, że Władysław ks. Opolski, wioząc na Jasną Górę obraz Matki Bożej, tu zatrzymał się chwilowo, a dworzanie szabłami wykopali źródło, którego wodą obmyto z kurzu wizerunek. W świątyni zwraca uwagę umieszczona w ołtarzu figurka drewniana Najśw. Panny oraz wprost kazalnicy pamiątka po przebywających niegdyś tu Paulinach. Jest to pięknie rzeźbiony w drzewie herb zakonu św. Pawła—a nad nim zawieszony starożytny obraz Matki Boski Częstochowskiej w srebrnej ramie i sukience. Rogi łosie na ścianie, a między nimi wizerunek św. Huberta, przypominają o istnieniu tu dawniej leśnej puszczy. Za Leśniowem kraj coraz bardziej falisty, w dolinach tylko osady ludzkie, kędy łatwiej było o wodę—na wzgórzach sterczą obnażone skały wapienne wyniosłości wieluńsko-krakowskiej.

Dalsza droga piaszczysta wspina się coraz wyżej, ku widniejącym na horyzoncie ścianom zamków w Mirowie i Bobolicach. Zdaleka jakby się widziało jedną olbrzymią warownię, której bastiony stanowią wspomniane zamczyska; tradycja też miejscowa utrzymuje, że łączyły się przejściem podziemnym.

Przez Bobolice po skalistym, malowniczym grzbiecie wrócono do Żarek, by stąd wyruszyć do Złotego Potoku. Spędziwszy noc w czworakach lub stodole w sąsiedztwie wspaniałej rezydencji i spożyciu posiłku, sprowadzonego z sąsiedniego miasteczka Janowa, całym taborem o świcie ruszono w piękne lasy.

Od źródła „Zygmunta”, mając za przewodnika gajowego, oglądano „skagę Twardowskiego”— „most

dyabelski”, sztuczną hodowlę pstrągów, wreszcie „wały” z czasów ostatnich walk o niepodległość, zakończono zaś pielgrzymkę na skałę, u stóp krzyża, poczem nastąpił powrót przez lasy—najkrótszą drogą, kierując się w stronę Olsztyna.

Na urwistym szczycie skał, skąd roztaczał się przepiękny widok na okolicę, wysłuchano opowieści kierownika wycieczki p. M. R. Witanowskiego o dziejach starego zamczyska: więc o dobrotliwym królu Kazimierzu, który w obronie uciśnionych wieśniaków zagłodził kazał w wieży możnego wojewodę, lub o sławnym Karlińskim, który wolał poświęcić własne dziecko, niż poddać twierdzę Niemcom.

Wycieczkę do Skierniewic i Dębowej Góry z Warszawy poprowadził w Niedzielę 5 czerwca r. b. p. Kazimierz Maszki. Osób zebrało się 123. Ruszyły one z dworca W.-W. o godz. 6 min. 55 rano do Skierniewic, gdzie spotkał wycieczkowiczów p. Lucyan Marczyński.

Wycieczka udała się do parku, a następnie piękną drogą do Zwierzynca. Tu jednak zobaczono tylko parę bażantów, zwierzyna bowiem pokryła się przed upałem w gąszczach leśnych. Ten sam upał dokuczał też i wycieczce, która z niekłamaną przyjemnością spoczęła wkrótce potem w gościnie zastawionych mlekiem stołów w Dębowej Górze.

Taką gościnność mógł rozwinąć jedynie dwór, słynący jako jedno z największych gospodarstw mlecznych w kraju. Uprzejmi gospodarstwo towarzyszyli wycieczce, oprowadzając ją po parku i wzorowym folwarku. Następnie dziarska czwórka u wozu i elegancki wolant odwozły najbardziej strudzone panie do Skierniewic, dokąd też ruszyła reszta wycieczki piechotą. Po drodze stwierdzano dobry stan miejscowego sadownictwa, nawet bowiem chłopskie grunta gęsto sadzone są drzewami owocowymi, których nie brak i na drodze Dębowa Góra—Balcerów. W Skierniewicach zwiedzono kościół, którego historię opowiadał i zabytki objaśniał jak i przy pałacach Skierniewickich p. Kazimierz Maszki. O godzinie 8 wieczorem wyruszył pociąg powrotny do Warszawy, gdzie wycieczka stanęła o 9, unosząc wspomnienia pięknego dnia i szczerą gościnności dziedziców Dębowej Góry.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

W. Guzowski. — Przewodnik po Warszawie ilustrowany informacyjno-adresowy, Warszawa, 1910, str. 132, z planem—40 kop.

Podanie do wiadomości publicznej garści szczegółów i informacji praktycznych, adresów, rozkładów jazdy, czy taksy dorożek jest rzeczą tak niewątpliwie pożyteczną, że jakkolwiek wydawnictwo takie nie jest nowością, możnaby jedynie autorowi za nie wyrazić wdzięczność. Równie jasnym co do potrzeby i celu jest umieszczanie w takim informatorze spisu sklepów z podziałem ich na specjalności, co może—dajmy na to—ułatwić czynienie zakupów. Ale cui bono pomie-

szczono na 38 stronicach formatu 16^o opis historyczno-archeologiczno-estetyczny *wszystkich* ulic Warszawy. Dla tych, których ilość i jakość objaśnień tego „Przewodnika” zadawała—szkoda czasu i atlasu (o ile to wogóle można nazwać „atlasem”), bo mało im zapewne zależy na informacjach, które im są obojętne. Jeżeli zaś jest on przeznaczony dla turystów, pragnących obeznać się choćby powierzchownie z miastem, jego zabytkami, sztuką i przeszłością, to niestety mija się z celem. Może oczywiście dać im chwilę wytnienia umysłowego, boć i hypokondryk, uśmiechnie się, czytając o domu Nr. 47 przy ul. Piwnej „w którym mieszkał Kopernik, astronom polski” albo wiadomość o ul. Nowomiejskiej, a mianowicie „że jest to stara ulica, która ma w sobie dużo historii; każdy dom na niej, ma swą historię”. Najlepiej poinformuje „Przewodnik p. Gomulickiego”;—nie myślę jednak żeby to odpowiadało intencjom autora. Sądziłby też można, że byłoby pożyteczniejsze pozostawić humorystykę piśmnom i wydawnictwom specjalnym, informowanie zaś o tem, co i gdzie w Warszawie „ma swoją historię”—książkom i ludziom, którzy mają większe po temu dane. Przewodnik byłby przez to nieco mniejszy, prawdopodobnie cokolwiek tańszy i napewno w stosownej mierze skromniejszy.

T-t.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

+ *Architekt.* Zeszyt 3-ci i 4-ty r. b. zawierają, między innymi doskonale, jak zwykle, fotografie wraz z opisami: nowego okazałego domu Towarzystwa Rolniczego w Krakowie przy placu Szczepańskim, projektów konkursowych na kościół we wsi Orłowie w gub. lubelskiej, oraz witrażu „Chrystus” Józefa Mehoffera, wykonanego dla Katedry na Wawelu, a nagrodzonego ostatnio przez Akademię Umiejętności. Jako dowód wielkiej staranności redakcyjnej i dążeń postawienia *Architekta* na wysokim poziomie artystycznym, należy podkreślić fakt, że tablicę z witrażem Mehoffera, która w zeszycie 3-cim została niezupełnie czysto odbita, redakcja dołączyła powtórnie do zeszytu 4-go, tym razem wykonaną już bez zarzutu.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Najpoważniejsza instytucja naukowa polska, Akademia Umiejętności w Krakowie, odbyła w d. 23 maja doroczne sprawozdawcze posiedzenie publiczne. Przewodniczył prezes Akademii Stanisław hr. Tarnowski, który też zagał zebranie. Zaznaczywszy na wstępie stały rozwój Akademii, zauważył dalej z żalem, że nie rozwijają się równolegle zasoby pieniężne instytucji. Mówca żywi jednak nadzieje, że sejm krajowy i rząd wiedeński nie odmówią Akademii koniecznej dla jej dalszego rozwoju pomocy.

Sekretarz generalny Akademii, dr. Bolesław Ulanowski, odczytał potem sprawozdanie z działalności Akade-

mii za rok ubiegły, z którego pokazuje się, że stosunki finansowe Akademii nie doznały w roku ubiegłym zmian ważniejszych. Zaznaczyć takdo należy, że dochód ze sprzedaży wydawnictw akademickich stale się zwiększa. Wydział matematyczno-przyrodniczy uzyskał nadzwyczajną subwencję rządową na lat 5 po 12,000 koron rocznie. Senat uniwersytetu Jagiellońskiego przekazał Akademii z dochodów drukarni uniwersyteckiej 35,000 koron, oprócz tego zaś ofiarował na fundusz Encyklopedyi Polskiej 20,000, na wydawnictwo podręczników przyrodniczych 5,000 koron, na podręczniki humanistyczne 10,000 koron.

Encyklopedia Polska znacznie wychodzić w tym roku. Materyał na trzy tomy już jest zebrany. Wydawnictwo Źródeł Porozbiorowych przygotowało do druku znaczną ilość publikacji, które ukażą się wkrótce.

Stacya naukowa i biblioteka polska w Paryżu rozwijają się bardzo dobrze. Komitet miejscowy z ks. Adamem Czartoryskim na czele, urzędnicy biblioteki pod kierunkiem p. Wł. Mickiewicza, liczni nareszcie prelegenci, wygłaszający peryodycznie interesujące odczyty, robią wszystko, co możliwe, aby publiczność polską w Paryżu około biblioteki skupić i w kontakcie z kulturą ojczyzną utrzymać.

Komisya do badania historii sztuki w Polsce nie przestaje na ogłaszaniu cennych monografii w swych sprawozdaniach. Przygotowuje obok nich wydawnictwa osobne. Na ich czele należy umieścić: bogato ilustrowany opis Zamościa i powiatu zamojskiego, który się ukaże łącznym kosztem komisji i ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego.

Po odczytaniu sprawozdania, rektor dr. Kazimierz Morawski wygłosił odczyt p. n.: „Juljusz Cezar, jego twórczość i znaczenie w piśmiennictwie”. Później sekretarz generalny odczytał listę nowych członków.

Na wydziale filologicznym wybrani zostali na członków korespondentów: dr. Edward Porębowicz, prof. filologii romańskiej we Lwowie; dr. Tadeusz Sinko, prof. filologii klasycznej we Lwowie; dr. Stanisław Witkowski, prof. filologii klasycznej we Lwowie.

Na wydziale historyczno-filozoficznym:

Na członków czynnych krajowych: dr. Szymon Askenazy, prof. historii nowożytnej we Lwowie; dr. Ludwik Finkel, prof. historii austriackiej we Lwowie. Na członków korespondentów: dr. Włodzimierz Czerkawski, prof. ekonomii politycznej w Krakowie; dr. Koschember-Łyskowski, prof. prawa rzymskiego we Lwowie; dr. Stanisław Wróblewski, prof. prawa rzymskiego w Krakowie.

Nominacje członków zagranicznych ogłoszone zostaną po zatwierdzeniu ich przez cesarza.

Wreszcie sekretarz generalny podał do wiadomości, że nagrody akademickie z fundacji ś. p. Probusa Barczewskiego po 2,225 koron, otrzymali: za pracę historyczną książkę profesor Władysław Chotkowski za dzieło „Historja polityczna kościoła w Galicyi za rządów Maryli Teresy”, zaś za dzieło malarskie prof. Akademii sztuk pięknych w Krakowie, Józef Mehoffer, za witraż w katedrze wawelskiej: „Chrystus cierniem koronowany”.

Poza tem przyznano nagrodę konkursową imienia Lindego w kwocie rb. 675 pracy p. t. „Studia nad

